

Doceniam wagę argumentów za ograniczeniem emisji gazów cieplarnianych. Jeżeli jednak ci, którzy nawołują do walki z globalnym ociepleniem, się mylą, sięgające setek miliardów dolarów nakłady pójdą na marne

Witold Gadomski GAZETA WYBORCZA

Może więc warto całą sprawę jeszcze raz przemyśleć, zamiast nawołować do szybszego wyrzucania pieniędzy w błoto.

Konsensus, czyli my mamy rację

Hipoteza o globalnym ociepleniu się klimatu na skutek działalności człowieka, przede wszystkim emisji gazów cieplarnianych, jest przez dużą część naukowców uznawana za prawdziwą. O groźbie, jaką niesie ze sobą globalne ocieplenie, mówią kolejne raporty Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatu (IPCC) - organizacji założonej przed 20 laty pod egidą ONZ. Raporty są szeroko komentowane i mają ogromny wpływ na opinię publiczną oraz na realną politykę. W roku 1997 kilkadziesiąt rządów podpisało protokół z Kioto, zobowiązując się do redukcji gazów cieplarnianych, przede wszystkim dwutlenku węgla (CO₂).

Z konkluzjami IPCC nie zgadza się jednak wielu naukowców - klimatologów, meteorologów, fizyków, geografów, geologów - którzy twierdzą, że teza o postępującym ociepleniu się klimatu jest słabo udowodniona i oparta na błędnych modelach komputerowych. Podkreślają, że IPCC pomija niewygodne dla siebie fakty, takie jak trwające przez dużą część XX w. ochładzanie się klimatu. W ciągu ostatnich dwóch tysięcy lat klimat zmieniał się wielokrotnie. Czasami oznaczało to ocieplenie, czasami ochłodzenie. Zmiany nie wynikały z interwencji człowieka, lecz z naturalnych procesów - na przykład aktywności Słońca. Miały wprawdzie istotny wpływ na rozwój cywilizacji (był czas, gdy Sahara była zamieszkała przez ludy rolnicze, a Gronlandia była jeszcze w średniowieczu zieloną wyspą), lecz nie doprowadziły do zniszczenia ludzkości.

Nawet jeśli klimat rzeczywiście się ociepla, sceptycy podają w wątpliwość sensowność walki z tym zjawiskiem. Uważają, że niekoniecznie musi być to skutek działalności człowieka. A jeżeli nawet - czy wprowadzenie ograniczeń emisji CO₂ w krajach rozwiniętych okaże się wystarczającym remedium? Czy narzucenie podobnych ograniczeń krajom biednym jest w ogóle możliwe i moralne? Czy nie doprowadziłoby do gospodarczej katastrofy?

„Rozumieny motywy tych, którzy chcą eliminować zagrożenia dla klimatu - piszą autorzy Deklaracji Lipskiej z 2005 r. - Sądźmy jednak, że re-

dukcja emisji dwutlenku węgla zapisana w protokole z Kioto przez część tylko światowej wspólnoty jest pomysłem niebezpiecznie uproszczonym, całkowicie nieskutecznym i destrukcyjnym dla poziomu zatrudnienia i standardu życia”.

Podobnie jak ogromna większość osób piszących o ociepleniu klimatu, nie jestem w stanie osądzić, jaka jest wartość naukowa dowodów przedstawianych w raportach IPCC, a jaka argumentów „grupy lipskiej”. Niepokoi mnie jednak to, że te ostatnie są przez „konsensus w kwestii globalnego ocieplenia” pomijane i lekceważone. W tym wypadku konsensus oznacza uznanie racji tylko jednej strony. W sporach naukowych podejście takie dziwi, choć jest normą w sporach ideologicznych.

Nowa religia

Idea walki z globalnym ociepleniem coraz bardziej przypomina religię w jej gorącej fazie prozelityzmu. „Wyznawcy” uważają „niewiernych” nie tylko za osoby błędzące, ale przede wszystkim stojące na niższym poziomie moralnym. Nie ma mowy o rzeczowej dyskusji.

Religie dlatego odnosiły sukces, że zaspokajały potrzeby wyznawców. Nie inaczej jest z religią globalnego ocieplenia. Jak Apokalipsa świętego Jana

Na walce z ocieplaniem się klimatu ktoś zyska, a ktoś straci.

Polska gospodarka straci na pewno.

W naszym interesie jest blokowanie zelotów. Co nie znaczy, że powinniśmy lekceważyć zagrożenia ekologiczne

przepowiada katalizm: zalanie miast przybrzeżnych w Ameryce i Europie, głód spowodowany wyjątkowo silnymi rolniczymi terenami, wyginiecie wielu gatunków, niszczące huragany. Daje też nadzieję zbawienia tym, którzy wierzą, zastępują się do wskazań nowego Kościoła i zaczną walczyć z globalnym ociepleniem. W średniowieczu żyjące na krawędzi biologicznej egzystencji społeczeństwa budowały wspaniałe katedry, by w ten sposób zapewnić miejsce w raju. Budowa pochłaniała szczupłe środki, ale przecież zbawienie nie ma ceny. Nie inaczej jest

dziś, gdy znacznie bogatsze narody dla zbawienia gotowe są przeznaczać setki miliardów dolarów i curo na walce z emisją CO₂.

Skuteczne religie miały jeszcze jeden magnes - części swych wyznawców zapewniały awans społeczny i materialny, a najwybitniejszym specjalne honory. Sceptycy kwestionujący zjawisko ocieplania się klimatu pod wpływem emisji gazów nie mogą liczyć na hojny sponsoring dla swych udziałowców. Na konferencje w atrakcyjnych miejscach świata, na udział w filmach, które z góry mają zapewnionego Oscara, na Pokojową Nagrodę Nobla. Takie zaszczyty stały się udziałem Ala Gore'a, który w 2007 r. dostał Nobla wspólnie z IPCC „za wysiłki na rzecz budowy i upowszechniania wiedzy na temat zmian klimatu wynikających z działań człowieka i za stworzenie podstaw dla środków, które są niezbędne do walki z takimi zmianami”. Czyli za szerzenie religii globalnego ocieplenia.

Przecież Gore - z wykształcenia politolog - nie ma kompetencji, by ocenić argumenty za ociepleniem się klimatu i przeciw niemu. Jeden semestr wykładów z klimatologii na Harvardzie to mimo wszystko za mało. W swej najslawniejszej książce „Earth in the Balance” napisał, że w Polsce w niektórych regionach zanieczyszczenie powietrza jest tak ogromne, że dzieci trzeba regularnie zwozić pod ziemię, by mogły odetchnąć niezanieczyszczonym powietrzem. Zapewne ktoś mu pokazał też nie w Wieliczce, tyle że Gore nie do końca rozumiał, o co chodzi. Nawet zwolennicy tezy o globalnym ociepleniu przyznają, że podobnych bzdur jest w książce Gore'a cała masa. Mamy tu kolejną analogię do działalności „ojców Kościoła”, którzy przepisywali i tłumaczyli święte księgi, popełniali błędy, które następnie stawały się częścią ortodoksji.

Potężne interesy

Kosztująca ogromne pieniądze walka z ociepleniem się klimatu musi oznaczać gwałtowne przesunięcie strumienia bogactwa. Ktoś będzie beneficjentem tej operacji, a ktoś straci. Stracą, co rozumiałe, właściciele kopalń węgla - surowca oskarżanego o największe emisje CO₂, a także innych szkodliwych gazów. Być może stracą także producenci ropy naftowej i gazu. Wprawdzie energia z tych surowców jest nieco czystsza, ale spalanie zawsze prowadzi do powstania dwutlenku węgla. Jeśli cały świat weźmie się do redukcji emisji, spadnie popyt na wszystkie paliwa leżące w ziemi.

To jednak dopiero wierzchołek góry lodowej. Wymuszona regulacjami redukcja emisji CO₂ oznaczałaby konieczność przestawienia się gospodarki polskiej - ale także ukraińskiej, rosyjskiej, amerykańskiej, australijskiej, nie mówiąc już o chińskiej, indyjskiej czy brazylijskiej - na technologie wielokrotnie droższe. Mówi się na przykład o elektrowniach węglowych zaopatrzonych w systemy przechwytywania CO₂, przesyłania ich rurociągami i magazynowania, być może w dawnych kopalniach. Takie ciągi technologiczne są na razie w fazie projektowania i nie wiadomo, ile będą kosztowały. Nie wiadomo też, czy rzeczywiście doprowadzą do ograniczenia emisji szkodliwych gazów, czy nie dojdzie do jakichś niekontrolowanych reakcji magazynowanego pod ziemią gazu ze skalami. Dziś nikt nie może wykluczyć, że pieniądze wydane na system przechwytywania dwutlenku węgla zostaną stracone. A chodzi o duże kwoty.

Być może najprościej będzie zamknąć elektrownie węglowe. A skąd będziemy czerpać energię? Pewnie kupimy ją od krajów, które produkują emitując mniej CO₂ - od Niemiec, może od Szwecji. Iak czy inaczej - my stracimy, ktoś inny zyska.

Narzucenie ograniczeń doprowadzi do zahamowania przemysłu energetycznego. Tak się pechowo składa, że to duża część polskiego przemysłu.

Ktoś jednak na tych zmianach zyska. Na przykład kraje mające rozwiniętą energetykę jądrową. Chyba że wyznawcy globalnego ocieplenia likwidację elektrowni jądrowych uznają za część ortodoksji. Zyskają firmy produkujące ciągi technologiczne do wyłapywania CO₂, kraje postindustrialne, żyjące niemal wyłącznie z usług.

Polska gospodarka straci na pewno, i to niezależnie od obecnych ustaleń na konferencji międzyrządowej Unii Europejskiej. W naszym interesie jest blokowanie klimatycznych zelotów, obniżanie nadmiernie ambitnych planów Unii i świata redukcji CO₂.

To wcale nie znaczy, że powinniśmy lekceważyć zagrożenia ekologiczne. Ale zacznijmy od spraw prostszych i bardziej realnych niż redukcja dwutlenku węgla. Naszym partnerom w Unii powinniśmy tłumaczyć, że zbyt ambitne pomysły doprowadzą biedniejsze kraje Europy Środkowej (nie mówiąc już o Trzecim Świecie) do gospodarczej zapaści, której koszty tak czy inaczej spadną także na bogatych wyznawców religii globalnego ocieplenia. ●